

Korzeń, łodyga, kwiat

Widowisko telewizyjne

Osoby:

LEON SYKUŁA	— stary woźny
HELENA	— jego żona
WIKTOR	— jego syn
TERESA	— żona syna
JASIŃSKI	— dyrektor fabryki
SZAFRANOWA	— sekretarka
BORKOWSKI	— przedstawiciel Zjednoczenia
PELASZKA	— sprzątaczką
PALCZYŃSKI	— majster

Skromne mieszkanie. Mały przedpokój, fragment kuchni widoczny przez otwarte drzwi, wyjściowe drzwi na wprost, po lewej do łazienki, które właśnie uchyla goła męska ręka.

WIKTOR (z łazienki) Mamo! Skarpetki i koszula. Biała!

HELENA (biegnąc z kuchni do pokoju) Wiem, wiem, że biała. (otwiera szafę, wyjmując koszulę i skarpetki — wraca do przedpokoju i podaje przez drzwi do łazienki)

WIKTOR Która godzina?

HELENA (zerknąwszy do kuchni na budzik stojący na kredensie) Dochodzi wpół do siódmej.

SYKUŁA (siedzi przy stole w kuchni, jeszcze w kurtce od piżamy, ale już ogolony i uczesany — przed nim pusty talerz i pusta szklanka. Podnosi nieco głos) Ja także się śpieszę!

HELENA (biegnąc do kuchni) Dwóch dorosłych chłopów w domu, a gorzej jakbym miała pięcioro małych dzieci. (nalewa owsianki na talerz, kawy do szklanki, kroi chleb)

SYKUŁA Może by raz Teresa wcześniej wstała i zajęła się mężem.

HELENA Nie marudź.

SYKUŁA (bierze łyżkę, ale nim zacznie jeść, podnosi oczy na żonę) Ja także wezmę białą koszulę.

HELENA (zdumiona) Ty?

SYKUŁA (zaczyna jeść) Tak. Białą koszulę.

HELENA A tobie na co biała koszula? Dopiero wczoraj wzięłeś czystą, tę flanelową...

SYKUŁA Powiedziałem ci, daj mi białą koszulę.

HELENA (przesuwając garnki na gazowej kuchni) No już dobrze, dobrze — weź, jak chcesz. Tylko...

SYKUŁA Tylko co?...

HELENA (podchodząc znów do stołu — nic nie podaje, zbliża się, żeby powiedzieć mężowi to, co ma mu do powiedzenia) Dzisiaj akurat... nie musisz tak się pchać ludziom na oczy...

SYKUŁA *(ostro)* Bo co?

HELENA Bo co! Sam rozumiesz...

SYKUŁA *(po chwili)* Myślisz, że ja dlatego... białą koszulę...
(zaczyna jeść, z pośpiechem, nerwowo)

HELENA *(wracając do kuchni — podchwytliwie, bo jednak z nadzieją i z pragnieniem potwierdzenia)* Może go wcale nie mianują...

SYKUŁA Mianują, mianują. Wszyscy o tym mówią. Gdzie się tylko pokażę na jakim wydziale, wszędzie mi gratulują.

HELENA *(znów zbliża się do stołu)* Gratulują ci? Już teraz?...

SYKUŁA Właśnie. Mogliby poczekać... Jasiński jeszcze jest, a oni już z gratulacjami.

HELENA *(po chwili — cicho)* Żal ci go?

SYKUŁA A dlaczego nie? Dziesięć lat — do kamienia na drodze by się człowiek przyzwyczaił.

HELENA A jednak wszyscy chcą, żeby odszedł. Żeby przyszedł ktoś młodszy...

SYKUŁA Młodszy! Nie młodszy, tylko mądrzejszy! Ze szkołą, jak się należy. *(podnosząc głos)* Po tośmy ich wszystkich do szkoły posyłałi...

HELENA Dlaczego od razu krzyczysz? Wiem, że teraz taki czas, żeby każdy był na swoim miejscu. Przecież i Wiktora tylko dlatego chcą, że inżynier i że na maszynach się zna. Pamiętasz, jak trzy lata temu przyszły te maszyny z zagranicy i nikt nie potrafił się do nich zabrać? Ani inżynier Sarnicki, ani Tomczyk. A Wiktor...

SYKUŁA *(tając powoli)* Pamiętam.

HELENA Zawsze miał takie ręce i takie oczy — od małego. A jak tylko przyszedł ze szkoły z pierwszym świadectwem, od razu wiedziałam, że z niego coś będzie. *(śmieje się, rozczulona)* Stał w drzwiach i zawołał: Mamo! Zobacz — same piątki!

SYKUŁA *(usiłując nie poddać się wzruszeniu)* Same piątki w pierwszej klasie miała i Celina, i Łucka.

HELENA Ale potem już nie, a Wiktor... *(przysiada na brzegu krzesła, patrzy mężowi w oczy)* Myślałeś ty kiedy, Leon, żeby nasz Wiktor akurat w twojej fabryce, gdzie przepracowałeś całe życie... Myślałeś ty kiedy, Leon?

Będą teraz mówili: syn starego Sykuły...

SYKUŁA Cicho, cicho... jeszcze go nie mianowali.

HELENA Ale sam mówiłeś, że mianują, że dziś mianują.

SYKUŁA Po to zwołują Radę Robotniczą i ze Zjednoczenia ma ktoś przyjechać...

HELENA Tak bym chciała to widzieć! A ty... ty będziesz przy tym?

SYKUŁA *(wymijająco)* Zawsze jakoś tam przy wszystkim jestem... *(wstaje)* Gdzie moja koszula?

HELENA Leży w szafie na wierzchu. Uparłeś się na tę białą...

SYKUŁA *(wychodzi do pokoju)* Uparłem się.

WIKTOR *(w drzwiach od łazienki)* No, mamusiu! Niech mamusia trzyma dzisiaj za mnie kciuki! *(podnosi w górę pięści z zaciśniętymi palcami)* Przez cały czas! *(wkłada marynarkę, wiszącą na wieszaku)*

HELENA *(wzruszona)* Będę trzymać. I pomodłę się, synku.

WIKTOR *(ubawiony, wznosi oczy do nieba)* Mamo!

HELENA Ty tam swoje wiesz, a ja wiem swoje.

WIKTOR Mamo, mamó!

HELENA Na ojca nie poczekasz?

WIKTOR *(wyjmuje z kieszeni marynarki zegarek, nakręca, wkłada na rękę)* Muszę jeszcze z kimś pogadać przed pracą.

HELENA O tej godzinie?

WIKTOR *(już w drzwiach, uśmiechem zegnając się z matką)* Każda godzina na to dobra. *(woła w głąb mieszkania)* Teresa! Wstawaj! Łazienka wolna. *(w stronę kuchni)* Niech się ojciec nie spóźni! *(wychodzi)*

Matka jeszcze przez chwilę stoi w otwartych drzwiach, zamyka je dopiero wtedy, gdy kroki Wiktora milkną.

SYKUŁA *(wchodzi do kuchni w białej koszuli, zapina guziki, zakłada spinki)* Przez całe swoje życie Sykuła ani razu do pracy się nie spóźnił. Teraz przez dwadzieścia siedem lat. I przed wojną, jak tylko była praca. A on do mnie: niech się ojciec nie spóźni!

HELENA Żartował przecież.

SYKUŁA Ładne mi żarty. I akurat dzisiaj. Jasiński przez dziesięć lat nie odważył się ani razu...

HELENA Mówię ci, że żartowałem.

SYKUŁA Niech leci, niech leci naprzód. Ile razy z nim idę, to się tylko zmęczę i zasapię.

HELENA Bo młody i zawsze mu się śpieszy. A coś ty dzisiaj taki jakiś?...

SYKUŁA *(odwraca się do żony plecami)* Zdaje ci się.

HELENA Wiesz, co to dziś za dzień? Powinniśmy go na długo zapamiętać.

SYKUŁA Tak. Na pewno.

HELENA Co ja dzisiaj na obiad zrobię? Trzeba by i Celinę, i Łucję zaprosić, z mężami — może by i Cieślaków, zawsze to po sąsiedzku, znają go od małego...

SYKUŁA *(wciąż nie mogąc uporać się ze spinkami)* I myślisz, że on się zjawi na ten twój obiad?

HELENA Kto?

SYKUŁA No, Wiktor. Na pewno go zatrzymają, będzie musiał pójść gdzieś z nimi — poleci dzisiaj trochę grosza. Jasiński, jak nastał, to ciągnęło się to do rana. Sam mi potem mówił — nie od razu, ma się rozumieć, tak kiedyś po kilku dobrych latach na szczerłość go wzięło — że całą pensję wtedy wydał. A Kostrzewa przed nim? Albo Szyszkiewicz? Sam ze trzy razy wódkę i zakąski donosiłem.

HELENA *(znów przysiadła na brzegu krzesła)* To może dopiero w niedzielę zrobię ten obiad?...

SYKUŁA A Jasiński to w dodatku nie mógł pić. Z tydzień go potem wątroba mdliła. Wiktor przynajmniej zdrowy.

HELENA Boże drogi, tyle pieniędzy... Ubranie by sobie nowe kupił, teraz przecież będzie potrzebował. Musi tak być?

SYKUŁA Nie przepuszcza. *(po chwili)* Żeby tylko w fabryce się to nie odbywało. Widzisz, zapomniałem mu o tym powiedzieć. Niechby ich do „Ratuszowej” zaprosił.

HELENA On chyba sam o tym pomyśli. Taki dzień... i miałbyś po zakąski albo po wódkę latać...

SYKUŁA *(krzyczy)* O czym ty myślisz?

HELENA Sam przecież mówiłeś, że za Szyszkiewicza...

SYKUŁA O czym ty myślisz, kobieto? *(po chwili)* Ja... ja dzisiaj... *(rezygnuje z dokończenia)*

HELENA Przecież ja nic takiego... Sam o tym przypomina-

leś... A to chyba jasne, że teraz by nie pasowało, żebyś akurat ty... Wiesz, jacy ludzie są... i co od razu zaczął gadać...

SYKUŁA *(znów unosząc się)* Nie zaczął! To jedno mogę ci już powiedzieć, że nie zaczął — jeśli tak się o to boisz.

TERESA *(w drzwiach kuchni, w szlafroku, z włosami w nieładzie)* Co tu tak głośno od rana?

SYKUŁA Matka mnie denerwuje...

HELENA Ja ciebie denerwuję? Boże święty! Odezwać się dzisiaj do ciebie nie można!

TERESA *(podnosi obie ręce do uszu)* Ciii... Głowa mi pęka! W Ośrodku dzieci wrzeszczą, a w domu...

SYKUŁA ...a w domu starzy. No, dokończ, dokończ!

TERESA Ojciec sam dokończył. *(siada przy stole, nalewa sobie mleka z butelki, pije)* Gdzież ten Wiktor tak o świcie z domu wyleciał?

HELENA Chciał jeszcze z kimś pogadać przed pracą.

TERESA Prawda! To dzisiaj! *(przeciąga się, ziewa)* No, może jak już tym dyrektorem zostanie, to się wreszcie doczekam, że będzie jeździł do fabryki samochodem. Ośrodek prawie naprzeciwko, nawet zbaczać nie trzeba...

SYKUŁA *(prawie z satysfakcją)* Służbowe samochody skasowane. Jasiński od roku chodził do fabryki piechotą.

TERESA Bo ma blisko. Nie to co Wiktor.

SYKUŁA Ja także przez całe życie chodziłem stąd do fabryki.

TERESA No to się ojciec przyzwyczaił. Ale Wiktorowi będą musieli dać albo samochód, albo mieszkanie w centrum. *Twarze Sykuły i Heleny.*

HELENA A... to nasze mieszkanie złe?... Ogródek tu mamy...

SYKUŁA Króliki można trzymać... i gołębie.

TERESA Przecież rodzice zostaną. *(przytapiawszy się na nie-takcie)* Mogą zostać... No bo rzeczywiście — i ogródek, i króliki, i gołębie...

HELENA A jak ty sobie, moje dziecko, dasz radę sama w domu? Do południa w Ośrodku, a po południu jeszcze wizyty w domach...

TERESA *(dopijając mleka, nieśpiesznie)* Myślę, że mamusia by co rano wpadła... *(zrywa się i całuje tęściową)* No co?

Mamusiu? Nie?

HELENA Jakby nie było innego wyjścia...

SYKUŁA (do Teresy) Sama mówisz, że daleko.

TERESA Ech, spacerek każdemu dobrze robi.

HELENA A... jak dzieci przyjdą?

TERESA (znów całując teściową) No przecież mówię, że mamusia... Mamusia tak lubi małe dzieci — swoje wychowała...

SYKUŁA No właśnie... swoje wychowała. Mogłaby już odpocząć.

TERESA Doświadczenie uczy, że starsze panie nie lubią odpoczywać. Co się zresztą będziemy martwić na zapas? Jestem pewna, że Wiktor postara się o samochód. (zmierzając do łazienki) Tylko... zaraz... Jak by to było?... Samochód po dyrektora, to i także po... (milknie) Mamusiul! Dostanę czysty ręcznik? Wiktor na pewno zmoczył i mój. Jak puszcza prysznic, to na całą łazienkę.

HELENA Ja wytę... (idzie po ręcznik)

SYKUŁA (do Teresy) Samochód po dyrektora, to i także po?...

TERESA (udaje, że nie pamięta) Co tatuś mówi?

HELENA (wraca z ręcznikiem) Proszę, masz ręcznik.

TERESA Dziękuję. (wycofuje się szybko do łazienki)

SYKUŁA Wiem, co chciała powiedzieć.

HELENA (znów przy kuchni) Co takiego?

SYKUŁA Nie słyszałaś? Jak by to było? Samochód po dyrektora, to i także po...

HELENA ...po kogo?

SYKUŁA No właśnie! Po dyrektora i po woźnego.

HELENA Tego nie powiedziała!

SYKUŁA Ale pomyślała!

HELENA Czy ty możesz wiedzieć, co pomyślała? Leon, ty dzisiaj naprawdę...

SYKUŁA I skąd to się w człowieku takie myślenie bierze?

Nim do szkoły poszła, bosy za krowami latała...

HELENA (spoglądając z przestrachem ku łazience) Leon!

SYKUŁA A czy mówię co złego? Co w tym złego? Sama opowiadała. W domu mieli tylko jeden koński ogon.

Dzieciaków kupa — ale Polska Ludowa każdego w górę wywindowała, no i proszę! — jest pani doktor!

HELENA Leon! Bój się Boga!

SYKUŁA Wciąż mówię prawdę. Samą prawdę. Cieszę się, że się mój syn z panią doktor ożenił. Ale jeszcze bardziej bym się cieszył, gdyby ona i tacy jak ona o swoim pochodzeniu pamiętali nie tylko wtedy, kiedy im punkty potrzebne, żeby się na uniwersytet dostać.

HELENA Leon! Ty może dzisiaj do pracy nie idź — Teresa zadzwoni z ośrodka, że zachorowałeś...

SYKUŁA Nie zachorowałem! Jak mi przed wojną pan Sokolnicki, kiedy mnie do Sokołowa do swoich maszyn rolniczych sprowadzał, dwa palce podawał — to wiedziałem, że dlatego, że go nikt szacunku do ludzi pracy nie nauczył. Ale teraz?... Zastanów się, kobieto!

HELENA Leon! Ona na pewno tak nie myślała. A ty... naprawdę nie wiem, co się dzisiaj z tobą dzieje. Może byś jednak w domu został? Przecież jesteś chory... widzę, że jesteś chory.

SYKUŁA (wychodząc do przedpokoju) Daj mi spokój! (wkłada kurtkę) Gdzie moje śniadanie?

HELENA (podaje mu zawinięty w papier chleb, który Sykuła chowa do swojej starej teczki, poprawia mężowi wywinięty kołnierz kurtki) Boże, Boże... Uważaj na siebie!

SYKUŁA (już w drzwiach — odwraca się) Co to znaczy — uważaj na siebie?

HELENA (zdumiona i zmieszana) Przecież... przecież zawsze tak mówię, jak wychodzisz z domu...

SYKUŁA A tak — prawda. Zawsze... (wychodzi)

Sekretariat. Pod oknem biurko, na nim telefony. Naprzeciwko okna drzwi wejściowe, przy nich krzesło i stół, na którym stoi taca ze szklankami, klej itp., obok leży stara teczka Sykuły. Na prawo drzwi obite skórą.

SZAFRANOWA (przy biurku — podnosi słuchawkę dzwoniącego telefonu) Dyrektor Sykuła?... Inżynier Sykuła... — nie, jeszcze nie pod tym telefonem. Jeszcze u siebie. (odkłada słuchawkę) O czym to ja mówiłam? Aha! O sy-

fonach na stoły w sali konferencyjnej... Panie Sykuła kochany, nie przeszedłby się pan...

SYKUŁA (*wstaje od swego stolika przy drzwiach*) Już zaniósłem.

SZAFRANOWA A szklanki? I popielniczki?

SYKUŁA (*zbliża się do biurka*) Wszystko już jest. Czy to pierwsza konferencja w moim życiu?

SZAFRANOWA Przepraszam, panie Leonie. Każdemu zdarza się o czymś zapomnieć. (*z uśmiechem nieco przymilnym*) A pan miałby może dziś do tego prawo...

SYKUŁA (*chce jej coś odpowiedzieć, ale rezygnuje z tego*) Telefon.

SZAFRANOWA (*podnosi słuchawkę*) Nie... Jeszcze nie... Jeszcze dyrektor Jasiński... Połączyć? Nie? No... on może od jutra. Może dopiero od pierwszego? Do widzenia. (*odkłada słuchawkę*) Oszałeli dziś z tymi telefonami.

SYKUŁA (*cicho*) Dyrektor u siebie?

SZAFRANOWA Tak. W gabinecie.

SYKUŁA Nie widziałem, żeby wchodził.

SZAFRANOWA Bo przyszedł dzisiaj chyba o świcie. (*po chwili — ciszej*) Pewnie dlatego, żeby się z nikim nie spotkać.

SYKUŁA (*reaguje zbyt ostro*) Dlaczego? Przecież niczego nie ukradł.

SZAFRANOWA Panie Leonie. Przecież to nie ja, to on tak myśli.

Obite skórą drzwi otwierają się.

JASIŃSKI (*na progu*) Pani Jadwigo, pamiętała pani o samochodzie na lotnisko?

SZAFRANOWA Tak jest, panie dyrektorze.

JASIŃSKI A o pokoju w hotelu?

SZAFRANOWA Pokój niepotrzebny. Był telefon ze Zjednoczenia, żeby zarezerwować bilet powrotny na samolot.

JASIŃSKI Zarezerwowała pani?

SZAFRANOWA Oczywiście.

Chwila przykrej ciszy przy obopólnym braku tematu.

JASIŃSKI (*już wycofując się do gabinetu*) A... sala konferencyjna... przygotowana?

SZAFRANOWA (*okazuje wreszcie ukrywane dotąd zniecierpliwienie*) Przygotowana.

SYKUŁA (*zbliża się do Jasińskiego*) Chciałbym... chciałbym porozmawiać z panem dyrektorem...

JASIŃSKI (*zdumiony*) Ależ proszę!

Wchodzą obydwaj do gabinetu, drzwi obite skórą zamykają się za nimi. Gabinet, piękne biurko, za nim fotel, pod oknem palma, obok okrągły stół i kilka foteli.

JASIŃSKI (*idąc w głąb*) O co chodzi?

SYKUŁA (*blisko drzwi*) Ja... chciałbym kilka słów z panem dyrektorem... Nie zajmę dużo czasu...

JASIŃSKI (*odwraca ku niemu zdziwioną twarz*) Proszę, niech pan siada. (*wskazuje mu jeden z foteli wokół stołu*)

SYKUŁA (*wzbraniając się tam usiąść*) Ja na krótko, postoję...

JASIŃSKI Ależ niech pan siada. Pogadamy. (*po chwili*) Mamy czas...

SYKUŁA No, ja... mnie pani Jadwiga może potrzebować...

JASIŃSKI Raz się obejdzie chwilę bez pana. Schudnie, jak się trochę sama ruszy. No, niechże pan siada! Co pan dzisiaj taki uroczysty?

SYKUŁA (*przysiada wreszcie na brzegu głębokiego fotela*) Dziękuję, panie dyrektorze. (*dotyka ręką kołnierzyka białej koszuli*) Pan pewnie też myśli, że to dlatego...

JASIŃSKI (*również siada, wyjmując papierosy, sam najpierw sięga do paczki, ale cofa rękę i częstuje Sykułę*) Zapali pan?

SYKUŁA Chętnie, panie dyrektorze. (*pałą, Jasiński czeka, żeby Sykuła zaczął wreszcie mówić, Sykuła wyjmując papieros z ust, przygląda mu się, znów pali, chwila się przedłuża*) Pani Jadwiga... powiedziała, że pan przyszedł dziś tak wcześnie...

JASIŃSKI (*zaskoczony*) A tak... miałem trochę spraw... trochę spraw do uporządkowania...

Biurko świeci pustką.

SYKUŁA (*rozglądając się po gabinecie*) Tyle lat pan tu pracował, panie dyrektorze.

JASIŃSKI Ano.. tyle lat...

SYKUŁA Przyszedłem, żeby pożegnać się z panem.

JASIŃSKI Pożegnać się? Panie Sykuła! Będziemy się chyba widywać?

SYKUŁA Ale nie tu. A ja tu chciałem się z panem pożegnać... Nie był pan zły dla ludzi, może nawet był pan czasem za dobry.

JASIŃSKI Nie chciałbym już do tego wracać. Było, minęło. Trzeba się z tym pogodzić.

SYKUŁA Ja wiem, że pan się nie przyzna do tego, że panu żal. Przede mną może się pan przyznać.

JASIŃSKI (*gasi papieros, odsuwa popielniczkę*) Jeśli mi cokolwiek żal, to tylko tego, że nie potrafiłem poprowadzić zakładu lepiej. Mądrzej, sprawniej. Pan mówi, panie Sykuła, że nie byłem zły dla ludzi, że może nawet czasem byłem za dobry, ale oni dzisiaj tej mojej dobroci za dobroć nie uważają. I mają rację.

SYKUŁA Jak to mają rację?

JASIŃSKI Mają rację! Nie taka dobroć była im potrzebna. Z pobłażliwości i głaskania po głowie nic nikomu nie przyjdzie. Głaskanie szybko wydaje się zwyczajne i każdy po kieszeni zaczyna się macać — a jak czuje, że puśta, podnosi krzyk, że mu się krzywdą dzieje. Więc co to za dobroć, w której człowiekowi dzieje się krzywda?

SYKUŁA (*po długim milczeniu*) Ja tu byłem przy panu dyrektorsze przez cały ten czas. Patrzyłem na wszystko, każdy musiał koło mego stołka przejść. Jak wchodził i jak wychodził. Z byle czym do pana dyrektora latali...

JASIŃSKI (*z pobłażliwością*) A wie pan dlaczego? Jedni, bo sądzili, że jak ja z magazyniera na dyrektora się wywinowałem, to prochu nie wymyślę i bawiło ich patrzeć, jak to ja tego prochu wymyślić nie mogę. A drudzy, bo wiedzieli jeszcze mniej ode mnie i rzeczywiście potrzebowali mojej decyzji, skoro nie umieli i bali się podjąć własną. (*po chwili*) Niepotrzebnie się pan trapi, panie Sykuła. Ja nie mam za złe pana synowi, że wchodzi na moje miejsce. Po pierwsze, nie przyszedłby on, przyszedłby ktoś inny — to dłużej nie mogło trwać, a po drugie...

SYKUŁA (*przerzywa mu*) Ale ja nie dlatego, panie dyrektorsze, nie dlatego. Chociaż co do Wiktora, to ja... no, nie — to pana dyrektora nie obchodzi... Ja bym tylko chciał

wiedzieć, od kiedy... od jakiego punktu to się zaczęło?...

JASIŃSKI (*zaskoczony*) Co... od kiedy? Od jakiego punktu?...

SYKUŁA No bo przecież pamiętam, jak się wszyscy cieszyli, kiedy pan nastał. Jakie mieli zaufanie. Przychodzili tu — powiedziałem już panu dyrektorowi — każdy musiał koło mego stołka przejść. Jak wchodził i jak wychodził. I widziałem, z jakimi twarzami wychodzili. Bo przed dyrektorem to się ma różne twarze, ale przed woźnym to każdy ma własną. Aż tłoczno tu zawsze było — a dzisiaj... pani Jadwiga mówi, że pan dlatego tak rano... I nagle zrobiło się, że wszystko źle...

JASIŃSKI (*wstaje, zaczyna chodzić po pokoju*) To nie nagle, panie Sykuła, ja także się nad tym zastanawiałem. Widzi pan, wszystko zależy od tego, do czego się człowiek przymierza. Myśmy się zawsze przymierzali do tego, co było. Nie tylko produkcję do produkcji przed wojną i zaraz po wojnie. I ludzi też tak ocenialiśmy. Wiedzieli o mnie, że jako magazynier jestem uczciwy, to najważniejsze u magazyniera. Ale nikt nie pomyślał, że to może za mało, jak na dyrektora. Początkowo to wystarczało. Wszyscy się cieszyli, że z mojej fabryki, tak jak przedtem z magazynu, śrubki nikt nie wyniesie, ale do tego to by od biedy wystarczył dobry stróż na bramie. (*po chwili — wciąż chodząc po pokoju*) Oczywiście — dziesięć lat, to szmat czasu i można się niejednego nauczyć. Ale w końcu człowiek sam siebie nie przeskoczy. Wiele może w życiu przeskoczyć i coraz wyżej podnosi sobie poprzeczkę, ale dochodzi wreszcie do tej górnej granicy i wie, że wyżej już ani centymetra. (*telefon — Jasiński nie podnosi słuchawki*) To na pewno już nie do mnie.

SYKUŁA Może to coś ważnego?

JASIŃSKI I tak już nie załatwię.

SYKUŁA Ja odbiorę.

JASIŃSKI Proszę.

SYKUŁA (*podchodzi do biurka, podnosi słuchawkę*) Halo! Słucham! Jest. Zaraz poproszę. (*zakrywa słuchawkę dłonią*) Pani dyrektorsza.

JASIŃSKI (*przyjmuje od niego słuchawkę*) Co się stało? Nic? Tak dzwonisz... Nie, jeszcze nie. Czekamy na samolot z

Warszawy. Co robię? A tak tu sobie siedzimy i rozmawiamy z panem Sykułą... Czy miły dla mnie? Bardzo miły. Nawet się nie spodziewałem... Ale to jest stary Sykuła, ojciec. *(po chwili)* Tak. Sam do ciebie zadzwonię. Daj spokój, wszystko w porządku. *(odkłada słuchawkę, zwraca ku Sykule twarz, trochę zmieszany)* Żona... trochę się niepokoi.

SYKUŁA *(znów przysiadłszy na brzeжку fotela)* Te nasze żony, panie dyrektorze, to żyją podwójnie, za siebie i za nas. Mają swoje obowiązki i zmartwienia, a jeszcze i nami się martwią, jeszcze i za nami w myślach chodzą, przez cały dzień, krok w krok. Moja — to jak przyjdę do domu, tylko mi w oczy spojrzysz i od razu wszystko wie. Jak mi praca przeszła i czy mi kto na odcisk nie nadepnął. *(sposztrza, że za dużo mówi o sobie)* Ale co tam moja praca...

JASIŃSKI *(nie patrząc na Sykułę)* Z moją żoną jest akurat tak samo... Będzie tam teraz siedzieć przy telefonie i dręczyć się przez kilka godzin, dopóki nie zadzwonię. I w dodatku jest przekonana, że robią mi krzywdę.

SYKUŁA One zawsze tak, panie dyrektorze. Żony i matki... Nie pamięta pan, jak pan ze szkoły czasem z dwóją wracał? Ojciec szykował pasek, a matka mówiła, że nauczyciel winien, że na pewno nas skrzywdził. Człowiek musi mieć w życiu przynajmniej kogoś jednego, u kogo zawsze ma rację.

JASIŃSKI *(powracając do rzeczowego tonu)* Ale to nie jest najlepsza metoda wychowawcza — i w niczym nie zmienia sytuacji. Można to najwyżej przyjąć, jak plaster na bolące miejsce.

SYKUŁA A to mało, panie dyrektorze? To mało?

JASIŃSKI *(po chwili)* Nie, to niemało. *(znów chodząc po pokoju)* Więc nie dowie się pan ode mnie, kiedy to się zaczęło. Ale przynajmniej już pan wie, jak i dlaczego.

SYKUŁA *(wstaje, sądząc, że był to sygnał do zakończenia rozmowy)* Dziękuję panu dyrektorowi.

JASIŃSKI Pan jest dzisiaj jakiś dziwny, panie Sykuła.

SYKUŁA Dziwny? Nie... dlaczego dziwny?...

JASIŃSKI Powinien się pan cieszyć, przecież to pana syn.

SYKUŁA To też ja się cieszę, panie dyrektorze. Cieszę się... tylko że także i trochę się boję... I podjąć muszę pewną decyzję...

JASIŃSKI Decyzję? Pan? O co chodzi, panie Sykuła?

SYKUŁA *(wycofując się do drzwi)* Nie będę już tym panu dyrektorowi głowy suszyć. Pani Jadwiga pewnie mnie potrzebuje.

JASIŃSKI Jakby potrzebowała, toby po pana przysła.

SYKUŁA O, nie, panie dyrektorze. Od samego rana chodzi koło mnie jak koło zbitego jajka. Zresztą i wczoraj, i przedwczoraj, jak tylko to się rozniosło, że Wiktor... Każde zdanie zaczyna teraz od „kochany panie Sykuła”. I pyta, czy nie miałbym ochoty zrobić to czy tamto. Dawniej to mnie po kilka razy pędziła do miasta, bo nigdy nie przychodziło jej do głowy powiedzieć mi wszystkiego od razu, a teraz to pyta, czy nie miałbym ochoty zejść o piętro niżej.

JASIŃSKI Dlaczego pan mi nigdy o tym nie mówił?

SYKUŁA Ale! Panie dyrektorze! Każdy ma swoje wady i nie trzeba na człowieka tylko przez wady patrzeć. Ja także pewnie mam niejedną, a mi ich ludzie nie wytykają. *(zbliży się o krok, zastanawia się przez chwilę nad tym, co chce powiedzieć, patrzy Jasińskiemu uważnie w oczy, niespokojny o jego odpowiedź)* Bo chyba, panie dyrektorze, jak tu jestem przez dwadzieścia siedem lat, to ludzie na mnie nie narzekali i wrogów nie miałem?...

JASIŃSKI Ależ, panie Sykuła, wszyscy tu pana zawsze lubili. I szanowali. To najważniejsze, że szanowali.

SYKUŁA Pan pewnie sobie pomyślał, panie dyrektorze, że niby jakich wrogów może mieć woźny? Wrogowie rosną razem ze stanowiskiem, im człowiek wyżej się wznosi, tym go ciśniej oblepiają, aż go czasem całkiem zaduszą. Ale i zupełnie na dole sprawy mogą wydawać się duże, duże złości i nienawiści. Ja ich nie znałem. I to była moja radość przez całe życie, że się we mnie żadne obce światło nie odbijało, że ja sam zawsze sobie na wszystko zasługiwałem... Na to, że mnie ludzie uważali za swego i mieli do mnie zaufanie, na to, że mnie zawsze, przez dwadzieścia siedem lat jednakowo traktowali...

JASIŃSKI *(zaczyna powoli rozumieć)* Panie Sykuła...

SYKUŁA Nie, nie, panie dyrektorze, za dużo się rozgadałem. Przyszedłem się z panem pożegnać, a wyszło, że gadam o sobie. Ale i ja... i ja dzisiaj... *(nie kończy, wychodzi)*

Druga strona drzwi obitych skórą — sekretariat.

SZAFRANOWA *(wstaje na widok wchodzącego Sykuły, bierze z biurka jakieś papiery i okulary)* Czekałam na pana — nie mogłam zostawić pustego sekretariatu. Akurat dzisiaj musieli przywieźć meble do klubu, Sikorski chce, żeby je odebrała cała rada zakładowa, bo jak potem są jakieś braki, to wszyscy mają pretensje do niego. Niech pan mnie wychodzi, kochany panie Sykuła, bo ma przyjechać ten z Warszawy. Może samolot się spóźnił...

SYKUŁA *(patrzy w okno)* Rano było trochę mgły.

SZAFRANOWA Ale potem się podniosła... więc jakby co — to jestem w klubie.

SYKUŁA *(siadając przy drzwiach)* Dobrze, pani Jadwigo.

SZAFRANOWA I telefony niech pan przyjmuje.

SYKUŁA Przecież wiem, pani Jadwigo — czy to mnie pierwszy raz?

Szafranowa wychodzi. Sykuła wyjmując ze swojej teczki śniadanie, zaczyna jeść, ale mu nie smakuje, zawija znów chleb w papier, wsuwa do teczki.

JASIŃSKI *(wychodzi z gabinetu, spogląda na zegarek)* Chyba samolot się spóźnił...

SYKUŁA *(kończy pośpiesznie chowanie śniadania do teczki, ociera usta, wstaje)* Właśnie pani Jadwiga to samo... to samo przed chwilą mówiła.

JASIŃSKI Już bym chciał, żeby było po wszystkim.

SYKUŁA *(ze zrozumieniem)* I ja, panie dyrektorze, i ja także. Może kawy panu dyrektorowi zaparzyć?

JASIŃSKI Nie, dziękuję.

SYKUŁA Albo herbaty?

JASIŃSKI Nie, nie — nie mam ochoty. *(znów spoglądając na zegarek)* Pójdę chyba do personalnego, będą mi potrzebne dokumenty...

SYKUŁA To ja pójdę, panie dyrektorze — albo najlepiej

niech pan zadzwoni do Fiałkowskiego, żeby przyszedł. JASIŃSKI Pójdę sam. Właściwie... nie mam już nic do roboty. Zawoła mnie pan, panie Leonie, będę u personalnego.

SYKUŁA Tak jest, panie dyrektorze. *(gdy za Jasińskim zamykają się drzwi, podchodzi do okna, wygląda, wraca na swoje miejsce przy drzwiach — dzwoni telefon — zrywa się, podchodzi do biurka, podnosi słuchawkę)* Tak. Nie, jest jeszcze dyrektor Jasiński, ale wyszedł. Jaki numer do inżyniera Sykuły? Osiemnaście — wewnętrzny osiemnaście. Dodzwonić się nie można przez centralę? To już nic nie poradzę. Nie, nie wiem, kiedy będzie pod tym numerem. *(odkłada słuchawkę, kręcąc głową, wraca na swoje miejsce)*

PALCZYŃSKI *(wchodzi — w długim szarym kitlu, noszonym zwykle przez majstrów)* Dzień dobry, panie Sykuła.

SYKUŁA Dzień dobry. Dyrektora nie ma, poszedł do personalnego.

PALCZYŃSKI *(zamknąwszy drzwi za sobą)* Ja nie do dyrektora.

SYKUŁA Myślałem. Zawsze pan tu był kilka razy dziennie.

PALCZYŃSKI No tak — były sprawy... *(z nagłym uśmiechem)* Pogratulować, panie Sykuła!

SYKUŁA Mnie? Czego?

PALCZYŃSKI Jak to czego? Tyle lat pan tu przepracował i doczekał się pan syna dyrektora.

SYKUŁA Jeszcze się nie doczekałem.

PALCZYŃSKI Ale to już pewne.

SYKUŁA Pan myśli, że to taki awans w robotniczej rodzinie? A ja panu powiem, że robotniczy awans to dobra robota, a nie miejsce przy biurku.

PALCZYŃSKI Biurko biurku nierówne, panie Sykuła. Na pana miejscu ja bym się cieszył, tak jak my wszyscy.

SYKUŁA Po to tylko pan przyszedł, żeby mi to powiedzieć?

PALCZYŃSKI *(speszony)* Nie, Szafranowej szukam. Meble do klubu mamy komisyjnie odebrać.

SYKUŁA Już tam poszła.

PALCZYŃSKI Dawno?

SYKUŁA Przed chwilą.

PALCZYŃSKI No tak... to już pójdę. Miała tu na mnie czekać... *(wychodząc)* A ja zawsze mówiłem, że młody Sykuła wysoko zajdzie...

SYKUŁA *(pod nosem)* Tylko o starym jeszcze nic nie wiecie.

PALCZYŃSKI *(zatrzymuje się w progu)* Co pan mówi?

SYKUŁA Nic ważnego. Niech pan szybko idzie, panie Palczyński, czekają na pana.

Palczyński wychodzi, Sykuła znów sam, chodzi po sekretariacie, wysypuje popielniczkę do kosza, siada na swoim miejscu, wyjmując papierosy, ale rezygnuje z palenia.

BORKOWSKI *(w drzwiach — w płaszczu i kapeluszu, z aktówką)* Dzień dobry!

SYKUŁA *(zrywa się ze swego miejsca)* Dzień dobry.

BORKOWSKI *(nie zdejmując kapelusza, podaje rękę Sykułowi)* Borkowski ze Zjednoczenia — cóż tak pusto u was?

SYKUŁA *(mamrocze niewyraźnie swoje nazwisko, niezbyt pewny czy także powinien się przedstawić)* Pan dyrektor u personalnego, pani Jadwiga... sekretarka... pani sekretarka... w klubie, meble tam odbierają... Ja zaraz...

BORKOWSKI *(zdejmuje palto, na końcu kapelusza)* Chciałbym jak najmniej przeszkadzać...

SYKUŁA *(odbiera od Borkowskiego płaszcz)* Zaraz pójdę po pana dyrektora, bo właśnie prosił, że jak tylko pan dyrektor przyjedzie...

BORKOWSKI *(chowa szalik w rękaw płaszcza)* Chwileczkę, chwileczkę — nie róbmy zamieszania. Konferencja dopiero o jedenastej.

SYKUŁA *(wiesza płaszcz na wieszaku)* O jedenastej.

BORKOWSKI No to mamy jeszcze trochę czasu.

SYKUŁA Ale dyrektor prosił, żeby go zaraz zawiadomić, jak tylko pan przyjedzie. Czekał przez cały czas — myśleliśmy nawet, że samolot się spóźnił.

BORKOWSKI A spóźnił się kilka minut. *(nagle, ze sztucznym ożywieniem)* No co? Zmiany się u was szykują...

SYKUŁA *(zatrzymuje się w drodze do drzwi)* Ano... podobno.

BORKOWSKI Co to znaczy — podobno? Chyba dobrze o tym wiecie?

SYKUŁA *(znów do drzwi)* Ja pana dyrektora poproszę.

BORKOWSKI Poczekajcie. Nie przeszkadzajmy dyrektorowi, co się wam tak śpieszy? *(siada na krześle pod oknem, wyciąga papierosy, częstuje Sykułę)*

SYKUŁA Może pan pozwoli do gabinetu pana dyrektora?

BORKOWSKI Dziękuję. Zostanę tutaj. Lubię z ludźmi pogadać.

SYKUŁA A ludzie... powinni to sobie cenić?...

BORKOWSKI *(nie zauważywszy ironii w słowach Sykuły)*

Nie wiem, czy ludzie — ja to sobie cenię. No, siadajcie!

SYKUŁA *(siada na swoim miejscu, niezbyt pewny, czy postępuje słusznie)* Ale jednak pan dyrektor prosił, żeby zaraz...

BORKOWSKI Ależ jesteście uparci! Dawno tu pracujecie?

SYKUŁA Niedługo będzie dwadzieścia siedem lat. Od samego początku.

BORKOWSKI Od samego początku?

SYKUŁA A jeszcze przedtem, przed wojną, to tu na narzędziowni pracowałem jako ślusarz. Ale robota raz była, raz nie. Zwalniali i przyjmowali, wie pan. A tak naprawdę na stałe to od czterdziestego piątego.

BORKOWSKI I od razu tutaj?

SYKUŁA A tutaj. Na narzędziownię nie wróciłem, bo miałem postrzał w trzydziestym dziewiątym w kość biodrową i nie mogłem tyle godzin stać, a ślusarz to nie tylko rękami, ale i nogami pracuje. A tutaj... *(po długiej chwili głębokiego zamyślenia)* tutaj źle mi nie było. Rano pocztę po wydziałach się rozniosło, potem — jak było co w mieście załatwić, a po południu z listami na pocztę... Praca spokojna... *(ożywiając się)* chociaż też odpowiedzialna, bo jakby na ten przykład list jakiś zaginął albo...

BORKOWSKI *(przerwywając mu)* Ale w fabryce do czegoś byście doszli.

SYKUŁA *(z godnością)* A tu nie doszedłem? Troje dzieci na ludzi wychowałem — co więcej potrzeba? Syn na inżyniera się wykształcił...

BORKOWSKI *(nie ciekaw kariery syna)* Oczywiście że to

się liczy. Ale w produkcji zawsze szanse większe.

SYKUŁA Ja i moje uważałem za dobre. Zżyłem się tu z wszystkimi ludźmi. Z robotnikami i dyrektorami. Od pierwszego — od Zagały, co teraz jest w Warszawie w ministerstwie, po naszego obecnego Jasińskiego.

BORKOWSKI (*zadowolony, że wreszcie jest przy temacie, który od początku chciał poruszyć*) Mam nadzieję, że i z Sykułą się dogadacie. Bo wiecie, że inżynier Sykuła ma zostać dyrektorem?

SYKUŁA (*po długiej chwili*) Ano wiem... wszyscy, to wiedzą...

BORKOWSKI I co? Co mówią ludzie?

SYKUŁA Nie wiem, nie słucham.

BORKOWSKI Ale sami macie także jakieś zdanie — znacie Sykułę?

SYKUŁA No, znam...

BORKOWSKI Od dawna?

SYKUŁA Od bardzo dawna. Od samego początku.

BORKOWSKI Prawda, bo on tu najpierw do waszej szkoły przyzakładowej chodził, potem do technikum, a w końcu fabryka wysłała go na studia. No to dobrze go znacie?

SYKUŁA Chyba dobrze...

BORKOWSKI I co myślicie?

SYKUŁA Jak to — co ja myślę?

BORKOWSKI No, pytam się was. Każdy człowiek ma przecież jakieś swoje zdanie o drugim człowieku.

SYKUŁA Ale akurat ja?...

BORKOWSKI Co to znaczy — akurat ja? Kogokolwiek mógłbym spytać.

SYKUŁA (*po długiej chwili zamyślenia*) Myślę, że młody, że zapalony...

BORKOWSKI To źle?

SYKUŁA ...ale że doświadczenia ma za mało i że zawsze potrzebowaliby kogoś, kto by go z tyłu za marynarkę trzymał.

BORKOWSKI Nie będziemy trzymać.

SYKUŁA To niedobrze.

BORKOWSKI Nie będziemy trzymać. Chcemy mieć tu człowieka z inicjatywą i wyobraźnią (*z nadwierną gorliwością*

„chwytania wiatru w żagle”), żeby się nie oglądał w tył, tylko parł naprzód, żeby potrafił realizować to, o czym przez cały rok mówili ludzie: nowoczesną produkcję w nowoczesnym państwie.

SYKUŁA (*cicho*) I to akurat Wiktor?

BORKOWSKI Co mówicie?

SYKUŁA Że Sykuła. Akurat Sykuła?

BORKOWSKI A macie tu lepszego?

SYKUŁA (*po długim namyśle*) Żeby tak uczciwie powiedzieć, to... nie.

BORKOWSKI No więc widzicie. Po co te zastrzeżenia?

SYKUŁA To nie zastrzeżenia. Pan by się też bał, jakby pan był na moim miejscu. O każdego się bałem — od Zagały po Jasińskiego. Bo każdy dobrze startował, a potem zaczynało się coś psuć. Nie wiem, sił im brakowało, czy może za bardzo byli ich pewni. Ale nigdy... nigdy tak się nie bałem, jak teraz...

BORKOWSKI (*coraz bardziej zdziwiony osobą woźnego*) Nie macie przecież konkretnych powodów...

SYKUŁA Nie, nic konkretnego... zupełnie nic konkretnego... Tyle tylko że młody i niedoświadczony. Na maszynach się zna, ale przecież maszyny to jeszcze nie wszystko. Na ludziach trzeba się znać. I na papierkach, spod których tutaj żaden dyrektor wygrzebać się nie mógł.

BORKOWSKI Papierków teraz nie będzie tak dużo.

SYKUŁA Nie wierzę. To by już i biuro musiało nie istnieć, tu i w Warszawie.

BORKOWSKI Jak to — w Warszawie?...

SYKUŁA Samych sprawozdań co ja się na pocztę nanosiłem przez te dwadzieścia siedem lat! Chyba by książki dla całej klasy można było na tym papierze wydrukować.

BORKOWSKI Nie przesadzajcie... nie przesadzajcie...

SYKUŁA Mówię, jak było. Niosłem na pocztę i tylko sobie myślałem, czy to naprawdę ktoś czyta.

BORKOWSKI (*coraz bardziej niezadowolony*) Więc wyobrażacie sobie...

JASIŃSKI (*w drzwiach*) Witam! Witam pana! (*do Sykuły*) Prosiłem przecież, żeby mnie zaraz zawiadomić...

SYKUŁA Ja chciałem, ja zaraz chciałem iść po pana dyrektora, ale...

BORKOWSKI Tak. Prosiłem, żeby panu nie przeszkadzać. Porozmawialiśmy tu sobie...

JASIŃSKI I kawy nawet pan nie dostał.

BORKOWSKI Dziękuję, dziękuję — piłem przed odlotem w Warszawie.

JASIŃSKI (wskazując drzwi gabinetu) Może pan pozwoli...

BORKOWSKI (zerkając na zegarek, niezbyt chętny do rozmowy z dyrektorem) Chyba już nie warto, zaraz jedynasta — pójdziemy od razu na salę. Już się tam zbierają?

JASIŃSKI (po chwili) Tak. Powoli się zbierają.

SZAFRANOWA (wchodząc) Ach, pan dyrektor już jest! Martwiliśmy się, że samolot się spóźnił.

BORKOWSKI Miał kilka minut opóźnienia.

SZAFRANOWA (do Jasińskiego) Przyszły nowe meble do klubu. Musieliśmy przyjąć komisyjnie. Fotele bardzo ładne, ale dwa z usterkami. Trzeba będzie zaraz... (urywa, uświadomiwszy sobie, że Jasińskiego nie powinno już to interesować) No tak...

Chwila przykrego milczenia.

BORKOWSKI (orientując się w sytuacji) Czy była pani łaskawa wykupić mi bilet powrotny?

SZAFRANOWA Ależ oczywiście. (wyjmuje bilet z szuflady biurka) Załatwiłam zaraz po telefonie.

BORKOWSKI Może od razu poproszę o stempel na delegacji.

SZAFRANOWA Pan dyrektor dzisiaj u nas tak krótko — nieładnie.

BORKOWSKI (odliczając pieniądze za bilet) Cóż robić? Tak wypadło. Pojutrze muszę być w Białymstoku.

Podczas rozmowy Borkowskiego z Szafranową Jasiński nie wie, co ze sobą zrobić. Sykuła, skrzepowany, przysiadł na swoim miejscu przy drzwiach.

BORKOWSKI (chowając bilet i delegację do portfela) No to by było wszystko. Możemy iść. Aha! (wyjmuje z aktówki papierową teczkę — nie wie, komu ją wręczyć) Tu są nowe propozycje eksportowe dla waszego zakładu. Sprawa bardzo pilna, jeśli wy się nie zdecydujecie, weźmie to Białystok. Chodzi o to, żeby zaraz po zebraniu... zaraz po

zebraniu (decyduje się wreszcie na przekazanie tej sprawy Szafranowej) dyrektor Sykuła się z tym zapoznał. Ja oczywiście będę o tym mówił na zebraniu, ale nie starczy czasu na szczegóły.

SZAFRANOWA (bierze teczkę, skierowuje się do gabinetu) To może ja od razu dyrektorowi na biurku położę...

BORKOWSKI (zerknąwszy ku Jasińskiemu) No, nie wiem... chodzi o to, żeby zaraz się z tym zapoznał.

SZAFRANOWA (zawraca do swego biurka) Na razie niech to zostanie u mnie.

JASIŃSKI Pani Jadwigo! Pani będzie protokołować.

SZAFRANOWA Wiem, panie dyrektorze. Już idę. (grzebiąc w papierach na biurku) Zaraz... gdzie ja podziałam protokół z przyjęcia mebli?... Boże, co za dzień!

BORKOWSKI (spoglądając na zegarek) No, chodźmy! Chciałbym, żebyśmy zaczęli punktualnie. (wychodzi, za nim Jasiński).

SZAFRANOWA (wybiegając za nimi z plikiem papieru w ręku) Protokołować mógłby ktoś z organizacyjnego. Panie Sykuła kochany! Pan siedzi przy telefonie!

SYKUŁA Tak jest. Nigdzie się nie ruszę.

SZAFRANOWA (na chwilę przystając w drzwiach) Tylko dla pana syna piszę dzisiaj ten protokół. Dla mnie to także chwila uroczysta.

SYKUŁA (zniecierpliwiony) Co też pani!

SZAFRANOWA No, niech pan nie będzie dziwny. Panie Leoni! (wychodzi)

Sykuła przez pewien czas sam, chodzi po pokoju, wygląda przez okno, przygląda się w szybie swojemu odbiciu, poprawia włosy i kołnierzyk koszuli, znów chodzi, siada, wstaje... — niepokój.

PELASZKA (uchylając drzwi — z miotłą, ścierką i kubłem w ręce) Nikogo tu nie ma?

SYKUŁA Ja jestem...

PELASZKA Pan Sykuła to by mi nie przeszkadzał ani ja panu. Bo tak sobie pomyślałam, że jak tu teraz nikogo nie ma, to może bym sprzątnęła te pokoje...

SYKUŁA U dyrektora wcale nie trzeba dzisiaj sprzątać. Nikogo tam nie było.

PELASZKA (*zamykając drzwi za sobą*) A przedtem to dywanu doczyścić się nie mogłam, tyle śladów. Prosto z fabryki każdy się tu pchał.

SYKUŁA Dzisiaj byłem tylko ja.

PELASZKA (*zaczynając sprzątać*) Wnuczka ma imieniny, chciałabym wcześniej wyjść.

SYKUŁA (*po chwili — nagle*) Jak to szybko zleciało!

PELASZKA (*schylona nad koszem do śmieci*) Co, panie Sykuła?

SYKUŁA Co? Wszystko! Życie.

PELASZKA (*podnosi głowę, przygląda mu się długo zdumionymi oczyma*) Co pan, panie Leonie?

SYKUŁA A pani Pelaszce się tak nie wydaje?

PELASZKA Zwyczajnie zleciało. Jak każdemu. Tylko że z życiem to jak z dniem. Rano się myśli, że do wieczora daleko, a kiedy już po południu, to godziny lecą...

SYKUŁA Mnie tak zawsze leciały. Za młodu, jak i teraz. Zawsze mi było czasu za mało.

PELASZKA (*prostując się*) Ale za to teraz pan sobie odpocznie.

SYKUŁA (*przykro zaskoczony*) Jak to — odpocznie? Dlaczego odpocznie?

PELASZKA Nie musi pan teraz już tak tyrać. Dwoje was tylko, dziewczyny na swoim — syn na stanowisku... Mówiliśmy właśnie wczoraj z Wincentym: stary Sykuła się doczekał! Przynajmniej życia nie zmarnował.

SYKUŁA Tak Wincenty powiedział?

PELASZKA Jego słowa!

SYKUŁA I nic więcej?

PELASZKA A co miał jeszcze mówić?

SYKUŁA Myślałem, że... Nie rozmawiałem z nim, od kiedy... od kiedy to z Wiktorem się zaczęło...

PELASZKA Cieszy się! Jak wszyscy. Przynajmniej swój człowiek będzie — mówi. Od małego się na niego patrzyło. Wiadomo, co w nim siedzi. Żeby tylko w głowie mu się nie przewróciło.

SYKUŁA Tak Wincenty powiedział?

PELASZKA Nie, to ja mówię. Bo wiecie, jak to jest — dyrektor, wielka figura! W górę go zaraz zaczął ciągnąć.

(*sprząta*) Na różne rzeczy już się człowiek w życiu napa-trzył. (*po chwili*) A pan Sykuła... wciąż tu będzie przy drzwiach siedział?

SYKUŁA (*usiłując opanować wzburzenie*) Pelaszko! Ja z Wincentym... od tylu lat... po tym strajku w trzydziestym piątym policja nas razem zamknęła... i w wojnę... i po wojnie, jak brat z bratem... a Pelaszka mi tu...

PELASZKA (*zdumiona — unosi głowę znad kubła, w którym wyżywała ścierkę*) A co ja takiego powiedziałam? Wszyscy ludzie się nad tym zastanawiają. Jak to teraz będzie? (*rozkłada ręce — w jednej trzyma ścierkę — wskazując na drzwi gabinetu i wejściowe*) Tu dyrektor — a tu...

SYKUŁA (*uciąż usiłując się opanować*) Pani Pelaszko... ja pani mówię, pani Pelaszko...

SZAFRANOWA (*otwierając gwałtownie drzwi*) Szklanek na stole za mało. I popielniczek!

SYKUŁA (*z trudem przychodząc do siebie*) Jak to... jak to za mało?... Postawiłem tyle co zawsze...

SZAFRANOWA Ale ludzi dziś na konferencji więcej. Popiół sypią na sukno...

SYKUŁA (*zbiera się do wyjścia*) To ja zaraz... ja zaraz...

PELASZKA (*zdejmując fartuch*) Może ja...

SZAFRANOWA (*skwapliwie*) Tak, tak, niech pan zostanie, panie Leonie, tak będzie lepiej.

Wychodzą — Sykuła zostaje sam, znów chodzi po pokoju, siada na krześle, wstaje, rozpina kołnierzyk u kieszuli. Dzwoni telefon — Sykuła patrzy na niego, ale nie podchodzi, telefon dzwoni — Sykuła nie odrywa od niego oczu, ale nie zbliża się do aparatu. Wreszcie telefon milnie, Sykuła zaczyna znów chodzić po sekretariacie.

PELASZKA (*w drzwiach — pełna emocji*) Już zaniósłam. Szklanki i popielniczki. Aż ciemno od dymu.

SYKUŁA Okna trzeba było otworzyć.

PELASZKA Nie chciałam przeszkadzać. Pana syn przemawia.

SYKUŁA Teraz?

PELASZKA No! Cisza taka, jak makiem zasiał.

SYKUŁA A o czym... o czym mówi...

PELASZKA O Jasińskim. O dyrektora.

SYKUŁA O Jasińskim? Że co?

PELASZKA Kiedy nie zdążyłam zrozumieć — pani Jadwiga wciąż, żeby prędko... prędko...

SYKUŁA O Jasińskim?...

PELASZKA Tak, to wiem na pewno.

Telefon — Sykuła nie podchodzi.

PELASZKA Dlaczego pan nie odbiera?

SYKUŁA Bo co powiem? Że tego już nie ma, a tego jeszcze nie ma? (*macha ręką — telefon wciąż dzwoni*)

PELASZKA Ale przecież trzeba odebrać. Może pilna sprawa?

SYKUŁA Teraz nikt nie ma żadnej pilnej sprawy. Każdy mówi, że poczeka.

Telefon dzwoni.

PELASZKA Ja odbiorę.

SYKUŁA I po co?

PELASZKA No, przecież nie można tak... (*podnosi słuchawkę — woła głośno*) Halo! Tak... którego? Stary jest! (*odkładając słuchawkę*) To do pana.

SYKUŁA Do mnie?

PELASZKA Przecież mówię, że do pana. Wyraźnie powiedziała: ze starym Sykułą.

SYKUŁA A kto to?

PELASZKA (*wzruszając ramionami*) Nie wiem.

SYKUŁA (*odbiera od Pelaszki słuchawkę*) Mówi Sykuła.

A, Teresa... Co się stało? (*po długiej chwili*) Nie, nic mi nie jest, co ci znowu mama naopowiadała... Nie trzeba mi żadnego lekarstwa. A co też Terenia — gdzież ja bym teraz do Ośrodka chodziła... Wiem, że blisko, ale po co? Nie, naprawdę nie trzeba się o mnie martwić... (*trochę wzruszony*) Nie trzeba... Jakoś to będzie. Jakoś leci... Dziękuję Tereni, że pomyślała, ale naprawdę nie trzeba... (*odkłada słuchawkę, stoi przez chwilę nieruchomo przy telefonie — napotyka pytający wzrok Pelaszki*) Synowa. Synowa dzwoniła. Żona jej naopowiadała jakichś głupstw... że... że źle się czuję...

PELASZKA (*zabierając się znów do sprzątnięcia*) Jak to dobrze mieć doktora w domu. Nie musi człowiek w ogonku

wyczekiwać, na miejscu zbada, obejrzy, brania lekarstw dopilnuje. (*przypodchlebnie*) A o pani doktor Sykułowej ludzie dobrze mówią. Kozłowskiej dzieciaka wyciągnęła z takiej biegunki, że już nikt nie miał żadnej nadziei. A teraz jaki pyzol! A rośnie! U Martylów pan tego Zenka pamięta? Po heinemedynie tylko nogami włóczył, język mu w gębie latał, dzieciak słowa nie mógł powiedzieć. A jak się pani doktor Sykułowa za niego wzięła — chłopak na drugi rok do szkoły idzie. Ona może tylko nie taka przylepna jak pani doktor Kilańska, nie uśmiecha się, cukierków dla dzieciaków nie nosi w fartuchu, czasem to nawet nakrzyczy. Cholera! — mówi — Nie pilnujecie bachorów, rąk nie myjecie, much z chałupy nie wyganiacie, a ja mam potem cuda robić! Ale robi cuda. Każdy musi powiedzieć, że tak. Dobrze się ożenił nasz dyrektor. Nasz nowy dyrektor...

SYKUŁA (*trochę zmieszany, ale i wzruszony*) Szorstka w mowie to ona jest, ale nie każdy musi się przymilać...

PELASZKA Ano pewnie. Ja to wolę takie zwyczajne mówienie. Żeby tylko prawdziwe. Ze słów człowiek niczego nie zbuduje. Nie naje się nimi, ubrania ani butów nie kupi. (*sprząta*)

Telefon — Sykuła nie odbiera, Pelaszka patrzy na niego wyczekująco, w końcu sama zbliża się do aparatu.

SUKUŁA (*krzyczy*) Niech pani Pelaszka nie odbiera!

PELASZKA Bo co?

SYKUŁA Nie chcę z nikim rozmawiać. Nie chcę! I nikogo tu nie ma.

PELASZKA Jak pan Sykuła uważa... (*telefon milknie*) Ale ja myślę, że jak telefon dzwoni, to znaczy, że ktoś ma jakiś interes.

SYKUŁA Do mnie? A dyrektora nie ma. Żadnego! (*po długiej chwili wpatrując się w okno*) Ona tu idzie! (*zdumiony i przerażony*) Tutaj... na pewno tutaj...

PELASZKA Kto?

SYKUŁA Ona. Moja synowa.

PELASZKA Pani doktor? (*podchodzi także do okna*)

SYKUŁA Przecież mówiłem, że nic... że nic mi nie trzeba... Żona jej naopowiadała...

PELASZKA *(dopiero teraz uważnie przygląda się Sykułce)*
A pan mi dzisiaj naprawdę jakiś dziwny, panie Sykuła.
Rumieńców na policzkach pan dostał...

SYKUŁA *(dotyka wierzchem dłoni policzków)* Ciepło tu dzisiaj.

PELASZKA I nerwowy pan taki!

SYKUŁA Nic mi nie jest. Wszyscy się dzisiaj na mnie uważają.

TERESA *(w drzwiach — płaszcz narzucony na biały kitel)*
Ależ macie cerbera w tej portierni!

PELASZKA Kogo, proszę pani doktor?

TERESA Nie chciał mnie wpuścić. Dłaczego telefonu nie odbieracie? Dzwoniłam z portierni...

SYKUŁA *(cicho)* I po co Terenia... po co to wszystko?...

PELASZKA Ale wpuścił panią doktor! Trzeba było od razu powiedzieć, że pani do męża.

TERESA *(rzuciwszy Pelaszce krótkie spojrzenie)* Powiedzia-
łam, że zasłabł ktoś w zakładzie i wezwano mnie. *(do Sykuły)* Co ojciec wyprawia?

SYKUŁA Ja? To wy wyprawiacie! Matka ci coś naopowiadała...

TERESA Niech no ojciec da rękę, zobaczę puls.

SYKUŁA *(obrusza się coraz bardziej)* Nic mi nie jest!

TERESA Proszę dać mi rękę! Cały dzień mam z dziećmi do czynienia... *(sama bierze rękę teścia, szuka pulsu, patrzy na zegarek)* Tego można było się spodziewać — tętno przyspieszone.

SYKUŁA Skąd przyspieszone? Dlaczego przyspieszone? Siedzę tu od rana, nawet w mieście nie byłem, bo dzisiaj taki dzień... Tyle co syfony i szklanki zaniósłem do sali konferencyjnej.

TERESA A jednak puls wyraźnie przyspieszony. Ojciec wie, że nie wolno się ojcu denerwować, bo ciśnienie zaraz skacze.

SYKUŁA Po tym ostatnim lekarstwie, co mi Terenia przepisała, ani razu mi nie skoczyło.

TERESA Ale może skoczyć. Lekarstwo cudu nie zdziała, jak chory sam sobie szkodzi. Przyniosłam ojcu pastylkę. Jest tu gdzieś woda?

PELASZKA Jest w karafce...

SYKUŁA Nie chcę żadnej pastylki!

PELASZKA ...ale może świeżej przyniosę?

TERESA Proszę, niech pani przyniesie — kto wie, jak długo tu stoi. *(Pelaszka wychodzi z karafką — Teresa niezręcznie)* Przepraszam ojca za dzisiejszy ranek... Nie chcia-
bym, żeby w dzień dla Wiktora tak pomyślny... Ojciec wie, że ja czasem paplę... Jęzor mam już taki, niech się ojciec nie gniewa.

SYKUŁA Ależ ja... co też ty, moje dziecko?... Zdenerwowany trochę jestem, ot i wszystko. Nie trzeba na to zwracać uwagi.

TERESA Niech tylko ojciec Wiktorowi nic nie mówi...

SYKUŁA Że... że się źle czuję?...

TERESA Że dzisiaj rano... byłam taka...

SYKUŁA *(długo na nią patrząc)* Możesz być pewna. Ani słowa.

TERESA Sama mu to powiem. A jeśli chodzi o ten cholerny samochód — bo przecież dzisiaj rano od samochodu się zaczęło — to ja w ogóle kicham na służbowe dojeżdżanie. Żeby mi to potem ktoś wypominał! Będziemy mieli własny, to będziemy jeździć.

PELASZKA *(wchodzi z karafką)* Proszę, jest świeża woda. Lepiej panu, panie Sykuła?

SYKUŁA *(podnosząc głos)* A czy mi było źle?

TERESA No proszę — co za tenor bohaterski! Zaraz będzie jeszcze lepiej... *(wyjmuje z fiolki pastylkę, nalewa do szklanki wody)* Zaraz ojciec będzie spokojniutki jak baranek.

SYKUŁA *(przyjmuje z rezygnacją pigułkę, popija wodą)*
Niech wam będzie. Jak się kobiety uprą...

TERESA I niech ojciec myśli o czymś pogodnym. Naprawdę mamy chyba dzisiaj szczęśliwy dzień.

SYKUŁA *(patrząc przed siebie)* Na pewno.

TERESA Jak to się skończy, niech Wiktor do mnie zadzwoni.

SYKUŁA Jeśli tylko będzie mógł.

TERESA Niech się postara. *(do Pelaszki)* Do widzenia.

PELASZKA Do widzenia pani doktor.

SYKUŁA *(cicho, gdy drzwi zamykają się za Teresą)* I wmu-
siła we mnie jakieś świństwo.

PELASZKA *(zbierając swoje przybory do sprzątania)* Powi-
nien się pan cieszyć, że ma taką synową. Nie każdy ma
tyle szczęścia w życiu.

SYKUŁA Co pani Pelaszka powiedziała?

PELASZKA Że nie każdy ma tyle szczęścia. *(rozgląda się po
sekretariacie)* Skończyłam. Zajrzę teraz do gospodarczego.
Jakby co... to tam jestem.

SYKUŁA Co to znaczy — jakby co?

PELASZKA No... jestem w gospodarczym. Może mnie pan
zawołać.

SYKUŁA *(podnosząc głos)* Nie będę potrzebował, niech pani
Pelaszka będzie spokojna.

*Pelaszka wychodzi, Sykuła zaczyna znów krążyć po se-
kretariacie — czeka, nie odbiera telefonu, staje przy
oknie, chodzi po pokoju... w końcu drzwi wejściowe
otwierają się szeroko, pchnięte ręką Wiktora, który prze-
puszcza przed sobą Borkowskiego i Jasińskiego, dziwnie
rozpogodzonego na twarzy. W kilka chwil po Wiktorze
wchodzi Szafranowa z plikiem zapisanych arkuszy.*

BORKOWSKI *(do Wiktora)* No, dyrektorze, jeszcze raz moje
najserdeczniejsze gratulacje!

JASIŃSKI I moje! I moje!

Ściskają broniącego się i zmieszanego Wiktora.

BORKOWSKI *(do Jasińskiego)* Ale i panu można pogratulo-
wać.

JASIŃSKI Właściwie to chyba tak... *(zupełnie rozbrojony)*
nawet się nie spodziewałem...

BORKOWSKI No widzi pan... cieszę się, że tak się stało.
(spoglądając na zegarek) Jeszcze trochę, a spóźniłbym się
na samolot.

SZAFRANOWA Samochód czeka, panie dyrektorze.

BORKOWSKI Dziękuję. *(podchodzi do wieszaka po swoje
rzeczy — Sykuła chce mu podać płaszcz, ale syn go wy-
ręcza. Borkowski, patrząc na Sykułę, do Wiktora)* Poroz-
mawialiśmy tu sobie przed zebraniem. Surowych macie
przyjaciół — ale jednak przyjaciół!

JASIŃSKI *(nim Wiktor zdążył zareagować)* Odwiozę pana
dyrektora na lotnisko. Nie zjadł pan nic...

BORKOWSKI Nie było czasu. Najważniejsze, że mamy
wszystkie sprawy załatwione. *(do Wiktora)* Pan zapozna
się z tymi materiałami, dyrektorze. *(do Szafranowej)*
Teczke zostawiłem u pani. Jutro muszę mieć decyzję.

WIKTOR Będzie pan ją miał. Ale na przyszłość proszę je-
dnak o niezaskakiwanie nas takimi sytuacjami.

BORKOWSKI *(skwapliwie — choć nie bardzo zadowolony)*
Oczywiście... oczywiście — to się nie powtórzy. Ale te-
raz... rozumie pan.

SYKUŁA *(któremu od dłuższego czasu nie daje to spokoju)*
Może ja jednak skoczę i przyniosę coś do jedzenia. Jak
to tak... żeby pan dyrektor głodny od nas wyjeżdżał?
Zemdli pana z głodu w samolocie.

BORKOWSKI Dziękuję, serdecznie dziękuję. Wolałbym się
nie spóźnić. Może przegryzę coś na lotnisku. *(do Wiktora)*
No, dyrektorze! Wszelkich pomyślności! *(żegna się z Sza-
franową, na końcu z Sykułą — wychodzi, Jasiński za
nim)*

WIKTOR *(oszołomiony i zmęczony stoi pośrodku pokoju)* No
tak...

SZAFRANOWA *(bierze papierową teczkę ze swego biurka)*
To jest ta teczka... *(skierowuje się do drzwi obitych skó-
rą)* Położę ją panu dyrektorowi na biurku.

WIKTOR Wezmę ją do siebie.

SZAFRANOWA Ale przecież gabinet wolny... Zaraz zrobię
panu dyrektorowi kawki, na pewno pan zmęczony...

WIKTOR Najpierw poproszę o teczkę z planem i zobowią-
zaniem produkcyjnymi.

SZAFRANOWA Już podaję, panie dyrektorze. *(podchodzi
do registratury, wysuwa szuflady, znajduje właściwe
teczki, podaje Wiktorowi)*

WIKTOR *(objuczony teczkami — z wahaniem zbliża się do
drzwi obitych skórą)* Może rzeczywiście... tu będę miał
wszystko pod ręką. Jak dyrektor Jasiński wróci z lot-
niska, proszę go uprzedzić, że tu czekam na niego. I jeśli
pani już tak dobra, pani Jadwigo, to proszę o tę kawkę.
Od śniadania nic w ustach nie miałem.

Wchodzi do gabinetu, Szafranowa zabiera się do parzenia kawy, a Sykuła wyjmując ze swojej teczki śniadanie i z wahaniem zbliża się do obitych skórą drzwi.

SYKUŁA (przy drzwiach w gabinecie) Może byś zjadł moje śniadanie? Nie miałem jakoś apetytu...

WIKTOR (rozłożywszy na biurku papiery, nie odrywa od nich oczu) Niech ojciec da, głodny jestem jak wilk!

SYKUŁA (podaje synowi chleb) Myślałem, że potem gdzieś pójdziecie — do gospody albo do „Ratuszowej”...

WIKTOR (je, nie odrywając oczu od papierów) Z kim miałem iść, nawet gdybym chciał? Borkowski śpieszył się na lotnisko, w komitecie mają zaraz jakąś naradę, nasi wrócili na swoje stanowiska, bo zaraz wchodzi druga zmiana, a ja... (uderza dłonią w papiery na biurku) widzi ojciec, co na mnie czekało.

SYKUŁA Uważaj, Jasiński między innymi dlatego się wykończył — też wszystko było na przedwczoraj!

WIKTOR (podnosi oczy na chwilę, lekko ubawiony ostrzeżeniem udzielonym mu przez ojca) No... powiedzmy, że dlatego. Sam ojciec mówi: między innymi. (wraca do papierów)

SYKUŁA (po długim milczeniu, cicho, ale prawie uroczyście) Wiktor! Chciałem cię prosić, żebyś mnie zwolnił z pracy.

WIKTOR (je, czyta — nie rozumie, o co Sykule chodzi) Co ojciec mówi?

SYKUŁA (głośnie) Żebyś mnie zwolnił z pracy.

WIKTOR (z oczyma w papierach) No, oczywiście — może ojciec iść. (zerka na zegarek) Przecież zaraz koniec. Ja trochę posiedzę — powie ojciec matce i Teresie.

SYKUŁA Ale ja cię chciałem prosić, żebyś mnie w ogóle zwolnił z pracy. Z fabryki.

WIKTOR (podnosi oczy) Jak to — w ogóle?

SYKUŁA (ze sztuczną pogodą) Zwyczajnie. Brakuje mi tylko roku do emerytury. Przez ten czas mógłbym zostać na mojej rencie inwalidzkiej.

WIKTOR Ma się rozumieć, że tak. Należy się ojcu odpocznerek. Tylko... czekał ojciec z tym na mnie? Od tej sprawy

mam zaczynać pełnienie swoich obowiązków? Trzeba było się z tym zwrócić do Jasińskiego...

SYKUŁA (cicho, ale wyraźnie i dobitnie) Do Jasińskiego?... Jak był Jasiński, nie miałem powodu zwalniać się z pracy.

WIKTOR (po długim milczeniu) Kiedy to ojciec postanowił?

SYKUŁA Od kilku dni nad tym myślałem, ale postanowiłem dzisiaj.

WIKTOR Ostatecznie?

SYKUŁA Ostatecznie.

WIKTOR (wracając znów na krótko do papierów) Jak ojciec chce, ale wolałbym, żebyśmy dłużej o tym porozmawiali. Widzi ojciec, że jestem zajęty...

SYKUŁA Żadne długie rozmawianie niczego tu już nie zmieni. Tak postanowiłem.

WIKTOR Ale jednak pogadamy jutro. (wraca do papierów, ale kiedy Sykuła jest już przy drzwiach, podnosi gwałtownie głowę) Niech no ojciec zaczeka! (wstaje, zbliża się do Sykuły) A dlaczegoż to ojciec chce stąd odejść?

SYKUŁA (odwraca powoli głowę) Sam powiedziałeś, że powinienem odpocząć.

WIKTOR Ale przy Jasińskim nie przychodziło to ojcu do głowy. Dopiero teraz... Dopiero teraz...

SYKUŁA (zawracając od drzwi) Pewnie myślisz, że... dlatego...

WIKTOR Dlaczego?

SYKUŁA Żeby ludzie nie gadali.

WIKTOR A już coś gadają?

SYKUŁA (prawie krzycząc) Nie wiesz? Nie wiesz, co mogą gadać? Nie wyobrażasz sobie? Dziś, tu, przed godziną, sprzątaczką Pelaszka, żona Wincentego Trelki, co to z nim za sanacji w więzieniu, a w wojnę także razem... ta Pelaszka zapytała mnie, jak to teraz będzie? Stała pośrodku sekretariatu i ręką ze ścierką wskazywała na drzwi do gabinetu, a drugą na wejściowe i mówiła: tu będzie siedział dyrektor Sykuła, a tu...

WIKTOR Niechże ojciec da spokój!

SYKUŁA Tak mówiła — i jakbym przez nią wszystkie inne

głosy słyszał. *(długie milczenie)* Ale ja nie dlatego, Wiktor. Nie dlatego.

WIKTOR Nie dlatego?

SYKUŁA Nie. Jak by ci tu powiedzieć, żebyś nie miał do mnie żalu. I żeby ci nie odebrać odwagi... Widzisz, ja tu już kilku dyrektorów przetrzymałem i wiem, jak się świat kręci. Każdy, kto wchodził do tego gabinetu, musiał przejść koło mego stołka. Jak wchodził i jak wychodził. Powiedziałem to samo rano Jasińskiemu. Kwiaty mu znosili, od prezentów opędzić się nie mógł.

WIKTOR Jak ojciec widzi, nikt mi niczego nie przynosi.

SYKUŁA Poczekaj, poczekaj — drzwi się nie będą zamykały. A niech ci się tylko noga powinie... Może nie dasz rady, może ci sił zabraknie, może tak wysoko jeszcze nie podrosłeś... wszyscy wtedy odwrócą się od ciebie. Nie chcę tego widzieć. Nie chcę tu przy tym być. Wiktor, nie chcę! Nie mógłbym tego przeżyć. Tak jak dziś o Jasińskim... nikt... nikt! — jednego dobrego słowa...

WIKTOR Nie ma ojciec racji.

SYKUŁA *(kiwając głową)* Nie mam racji?

WIKTOR Nie. Bo powiedział dziś ktoś o Jasińskim dobre słowo.

SYKUŁA Kto?

WIKTOR Ja.

SYKUŁA *(z radością)* Ty?

WIKTOR Tak, ja.

SYKUŁA To dobrze, synku. To bardzo dobrze. Dziękuję ci.

WIKTOR Nie ma mi ojciec za co dziękować. Zrobiłem to z egoizmu. Nie żebym liczył na to, że kiedyś odplaci mi ktoś tym samym, ale że nie chciałbym zapaskudzać teraz swojej sytuacji uczuciem, że kogoś skrzywdziłem. To by mi wiele zepsuło. To by mi może nawet zepsuło całą radość. Powiedziałem to wobec wszystkich: robił to, na co go było stać. Musi odejść, bo stawia się teraz ludziom na takich stanowiskach wyższe wymagania. Ale to nie znaczy, że uznajemy jego pracę za bezużyteczną. I że nie można mu powierzyć innych zadań, którym na pewno sprosta.

SYKUŁA *(z nadzieją w oczach)* Co zrobiłeś, Wiktor?

WIKTOR Zaproponowałem mu, żeby tu został. Może być moim zastępcą do spraw administracyjnych. Chyba przyjął to z dużą radością.

SYKUŁA Widziałem... Widziałem — inny człowiek. Kiedy patrzyłem na niego rano i teraz...

WIKTOR Myślę, że nikomu nie wolno odbierać nadziei, jaką ma w stosunku do siebie samego. Nawet w najmniejszej może być siła, której nic nie zastąpi. Tak właśnie jest z Jasińskim. Bardzo trzeba mu było czyjegós zaufania. Będzie teraz patrzył we mnie jak w słońce i odciąży mnie od całej tej papierkowej roboty, przed którą dostaję dreszczy. Dopiero za rok mu powiem, że to z czystego wyrachowania.

SYKUŁA *(miętko)* Nie wierzę, że z wyrachowania.

WIKTOR No mówię ojcu.

SYKUŁA *(siada na krześle przy biurku, patrzy na swoje ręce, dopiero po chwili podnosi oczy na syna)* A ty?... Myślisz, że dasz radę?...

WIKTOR *(staje przed ojcem)* Na razie wiem tylko tyle, że bardzo chcę.

SYKUŁA Ale... czy dasz radę?

WIKTOR Po to się uczylem. I będę się starał.

SYKUŁA Ale akurat... ty?

WIKTOR A dlaczego nie ja?

SYKUŁA *(przez chwilę twarz w dłoniach)* Tak się boję, Wiktor, tak się boję! O każdego dyrektora się bałem, ale przecież o żadnego tak jak o ciebie. Nie chciałbym czekać takiej chwili, gdybyś ty... Bo teraz wszyscy są za tobą, wszyscy chcą ci pomagać, przyrzekają, przysiegają, aż serce rośnie. A poczekaj tylko, jak zaczną ci do pracy nie przychodzić po każdych imieninach... i żeby tylko po swoich, ale i każdego kumpla... jak zwolnienia będą brać, żeby pójść na ryby, mieszkanie odmalować albo pojechać na wieś do teściów na żniwa. I przy każdej maszynie będziesz stał, żeby patrzeć, jak robią? Ile czasu przegadają, ile materiału zepsują! Wiesz, że są ludzie tacy, na których można liczyć, ale i tacy, że tylko lać! Czy to wszystko klasa robotnicza? A ilu w niej pijaków i nie-robów? Ja się nie boję o tym mówić, bo kto ja jestem?

Ja sam jestem klasa robotnicza — sam ze sobą się rozliczam. A wielkie słowa trzeba na zwyczajne życie przetłumaczyć.

WIKTOR (*kładzie ojcu obydwie ręce na ramionach*) I dlatego nigdzie stąd ojciec nie pójdzie.

SYKUŁA (*usiłując podnieść się z krzesła*) Jak to nie — przecież prosiłem... i powiedziałaś, że pogadamy...

WIKTOR No i pogadaliśmy... Nigdzie stąd ojca nie puszczę.

SYKUŁA Wiktor!

WIKTOR Będzie ojciec siedział tam, gdzie dotąd. Niech wszyscy widzą, że się tego nie wstydę.

SYKUŁA Wiktor! Przecież mówiłem ci, że ja nie dlatego...

WIKTOR A ja dlatego! Ja dlatego! Niech to widzą! Zaprośzę moich profesorów — zanim przyjąłem to stanowisko, upewniłem się, czy zechcą współpracować z naszymi zakładami — przyjadą i każdy ojcu uściśnie rękę. Wiedzą, skąd się wywodzę, uważałem to zawsze za swój honor. Ojciec wspominał przed chwilą, co powiedziała Pelaszka, a ja ojcu teraz powiem, z jakimi słowami zwrócił się kiedyś do nas nasz profesor, z katedry, do nas wszystkich. Za oknami był któryś pamiętny polski miesiąc, nie wiedzieliśmy, po której jesteśmy stronie i czy były jakieś strony w tym zamieszaniu, zdziwieniu i rozpacz... najbardziej przerażała nas myśl, żeby nie zdecydowano tego za nas. A profesor nie poświęcił wykładu fizyce, tylko zaczął mówić jakby o botanice — spoglądaliśmy na siebie zdumionymi oczyma. Widzieliście na pewno nieraz korzenie jakiejś rośliny, mówił, wrosnięte w ziemię, zespolone z ziemią. Jeśli korzenie są silne i zdrowe, wyrosnie z nich prosta, piękna łodyga, a na niej zakwitnie kwiat. Słuchaliśmy, wciąż zdumieni, ale i wzruszeni — byłem tam najstarszy, nie przyszedłem na studia jak inni, z liceum, ojciec pamięta, ile miałem lat, kiedy mnie fabryka wysłała na politechnikę, ale też mnie najostrej objawiła się ta powinność, o której mówił profesor, najważniejsza powinność, jaką może mieć człowiek... Minęło tyle czasu, a ja wciąż słyszę głos profesora, kiedy mówi: korzeń, łodyga, kwiat — nikomu nie udało się rozerwać tej zależności. (*po chwili innym*

tonem) I dlatego nigdzie stąd ojciec nie pójdzie. Nie puszczę ojca. Będzie ojciec, jak dotąd, siedział tam przy drzwiach i patrzył na mnie z bliska. A jakby mi się przy tym biurku nie pracy dyrektora, a dyrektorowania zachciało, to ma mnie ojciec w kark wałnąć, żebym oprzytomniał.

SYKUŁA Wiktor... Wiktor...

WIKTOR A tak. Właśnie tak, wcale nie żartuję. Ojciec wie, że najgorszego wroga ma się w sobie. (*po chwili, pogodniej*) Czy teraz już się ojciec nie będzie o mnie bał?

SYKUŁA Bać to ja się będę zawsze. Taki już ze mnie ojciec. I taki człowiek.

WIKTOR Musi mi ojciec po prostu okazać tyle zaufania co obcy ludzie. Wierzą, że chcę i potrafię.

SYKUŁA Ale jeśli jednak... jeśli jednak...

WIKTOR Rozumiem już teraz, co miał na myśli dyrektor ze Zjednoczenia, kiedy mówił, że surowych mam przyjaciół.

SYKUŁA Ale jednak przyjaciół, powiedział, przypomnij sobie.

WIKTOR Pamiętam. No więc co... jeśli jednak?... Ani mnie, ani ojcu ta obawa nie przynosi zaszczytu, ale skoro ma to ojca uspokoić... No cóż, wrócę po prostu do swojej dawnej pracy i nie będzie w tym ani krzywdy, ani sensacji. Może już się w końcu tego nauczymy, że ustępuje się miejsca lepszemu, jeśli ten rzeczywiście jest lepszy. (*znów żartem*) No co? Porozumiały się ze sobą dwa pokolenia Sykułów?

SYKUŁA Oj, Wiktor! Wciąż ci żarty w głowie...

WIKTOR Żeby ojciec wiedział, że nie. (*zjada ostatni kawałek chleba leżący na biurku*) Dobry ten chleb. Nie ma ojciec więcej?

SYKUŁA Nie. Żebym był wiedział, sam bym nie jadł. I tak nie miałem apetytu.

WIKTOR Niedługo pójdziemy na obiad. Przejrzę te papiery i poczekam na Jasińskiego, muszę z nim pogadać. Niech ojciec nikogo do mnie nie wpuszcza.

SYKUŁA (*wychodząc*) Ma się rozumieć. (*wraca*) A matce ani słowa. Ani Teresie...

WIKTOR (już znad biurka — znów żartem) Czy to ja nie umiem dochowywać tajemnicy przed babami? Panie Sykuła!

SYKUŁA (zamyka drzwi — sekretariat pusty, ale po chwili, powoli uchylając drzwi, wchodzi Palczyński — w fartuchu, jak przedtem, z jakimś detalem w rękę i z kwiatkiem w celofanie, trzymanym nieco wstydliwie z boku) Dyrektora nie ma. Pojechał na lotnisko.

PALCZYŃSKI Jasiński... Jasiński pojechał na lotnisko. A ja do dyrektora Sykuły.

SYKUŁA Już? Zajęty. Jeszcze pan po swojej zmianie do domu nie poszedł?

PALCZYŃSKI Ano... zostałem... Bo mi w tej nowej frezarce... (potrząsa detalem)

SYKUŁA I z tym pan do dyrektora?

PALCZYŃSKI Dyrektor Sykuła na wszystkim się zna.

SYKUŁA Ale to pan powinien się znać. Pan jest mistrzem na swoim wydziale, a dyrektor ma co innego na głowie.

PALCZYŃSKI (składa usta, jakby chciał zagwizdać) Oho! Ostro pan zaczyna, panie Sykuła!

SYKUŁA Jakbym tak zaczynał przy Jasińskim, toby może miał więcej czasu na poważne sprawy, a nie zajmował się duperelami.

PALCZYŃSKI Ale ja naprawdę tylko na chwileczkę. I kwiatek przyniosłem...

SYKUŁA Dla kogo?

PALCZYŃSKI Dla dyrektora.

SYKUŁA Dyrektor wyraźnie powiedział, żebym nikogo nie wpuszczał. Z kwiatkami tym bardziej... A swój niech pan da Jasińskiemu, jak go pan na schodach spotka. Należy mu się dzisiaj.

Palczyński pośpiesznie wychodzi, w drzwiach mija Szafranową, która wraca do sekretariatu z ręcznikiem i mydłem.

SZAFRANOWA (do Sykuły) Czego chciał?

SYKUŁA Jak zwykle. Do dyrektora.

SZAFRANOWA Nie wpuszczał pan?

SYKUŁA Pewnie że nie.

SZAFRANOWA I kwiatek miał...

SYKUŁA No właśnie. Pierwszy.

SZAFRANOWA (zamyka szuflady biurka, bierze torebkę, wrzuca w nią klucze — woda na kawę się gotuje, zaparza i niesie filiżankę do gabinetu. Sykuła przez dłuższy czas sam. Szafranowa wraca, wyjmując z torebki puderniczkę, poprawia twarz) Późno się zrobiło. No, mieliśmy dzisiaj dzień!... Pan jeszcze zostaje?

SYKUŁA (znów siedząc na swoim miejscu przy drzwiach) Tak. Posiedzę jeszcze.

SZAFRANOWA (wrzuca puderniczkę do torebki, zbliżając się do wyjścia) Czy... czy... (nie wie, jak to sformułować) powiedziano panu, że będzie pan potrzebny?...

SYKUŁA Mam nikogo nie wpuszczać. Ale i tak... i tak bym został. Poczekam na dyrektora... Razem pójdziemy na obiad.